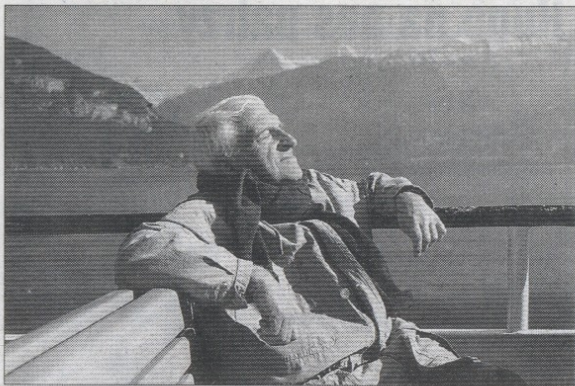


Na fryzyskiej herbatce u Bendera w Rybnie



Pod słonecznymi promieniami Szwajcarii, gdzie Witold ma jeden z bogatych narodowościowo korzeni rodzinnych.

Właściwie nikt nie wie, kim on jest, choć każdy w Rybnie go kojarzy. Gdy spaceruje aleją kasztanową z psami, wygląda dosyć niesamowicie. Na tyle, że już zawsze będę go tak kojarzyć.

Takie widzenie Witolda Bendera nie należy do wyjątków. Mieszkańcy naszego powiatu znają jego otoczoną psami postać, lecz do końca nie wiedzą, kim jest ten człowiek, który od 20. lat zrasta się z rybińską rzeczywistością. Obcy czy swój?

Witold Bender przyjechał do Rybna na początku lat 80-tych, by objąć stanowisko kustosa w tutejszym oddziale warszawskiego Muzeum Archeologicznego. Od roku jest na emeryturze i jako rezydent mieszka na terenie otaczającego muzeum pałacyk parku - w niewielkim budynku tuż przy bramie.

Kiedy weszłam do jego mieszkania, uderzył mnie wysmakowany styl, w jakim zostało urządzone. Piękne, podrzeźbione mebelki z minionych wieków, nastrojowe kącki do naukowej pracy, naznaczone historią i wprawna ręka bibeloty, kolekcjonerskie drobiazgi, ściany zapelnione dobrymi akwarelami i grafikami. I skromne zasłony wbrew powołaniu w pełni odstawiające okienny widok na park i XIX-wieczny pałac, odbudowany dla potrzeb siedziby muzealnych pracowników i wszelkich gości. Piszę o tym nie bez przyczyny. Pan Witold urządził swój dom zupełnie sam, a zatem musi być człowiekiem potrzebującym piękna



Nocne rozmowy z ukochanymi psami - 10-letnią Emmą i jej synem Pikielom.

i ducha do pracy, człowiekiem, że powiem niezbyt ładnie, schludnym, kimś emanującym ciepłem, spokojem, na pewno domatorem. W kilku słowach: kulturalny, z klasą i pozytywnym stosunkiem do życia.

- Jeśli chce pani rozmawiać o muzeum - powiedział mi już na progu - to niestety, zadowolę się tym, że mam. Ten rozdział życia mam już zamknięty.

Nie, chcę mówić o panu.

- O mnie? Przecież nie zrobiłem ni-



Witold - pierwszy z prawej, obok jego młodszy braciśzek i starsza siostra

czego wielkiego.

Choć pan Witold nie chciał rozmawiać o swojej działalności w muzeum, nie mogę o niej nie napisać. Przede wszystkim przełamwał magazynowo-studiowy charakter tej placówki i otworzył ją dla zwiedzających. Urządził dostępną dla wszystkich zainteresowanych, dydaktyczną ekspozycję, nawiązał kontakt ze szkołami i począł przyjmować (opowiadając z pasją o obiektach) dziecięce i młodzieżowe wycieczki, prezentował zabytki z muzealnych zbiorów podczas festynów ludowych w Rybnie. Zamknął ośrodek, miejsce wycieczek i bazowych magazynów dla Warszawy, poczęło funkcjonować w świadomości lokalnej społeczności. Było to możliwe również dzięki temu, że Witold włożył ogromną pracę w uratowanie i urządzenie zniszczonego klasycystycznego pałacu i otaczającego go krajobrazowego parku (zamiennego z placu absolutnej dzicy w ściągające ptaki i stworzenia wszelakie (np. u stawu mieszkają bobry) cudelko).

Kim pan jest?

- Archeologiem. To zawodowo. A poza tym połowę życia poświęciłem swojej religii i kościołowi.

Witold jest ewangelikiem reformowanym (religię powstałą na bazie nauk Kalwina). Wiele lat czynnie angażował się w działalność swojego Kościoła. Był prezesem kolegium zborowego warszawskiej parafii ewangelicko-reformowanej, przez 6 lat był prezesem Synodu. **Skąd tak mało popularne w Polsce wyznanie?**

- Z domu. A patrząc dalej, moja babka ze strony matki wywodziła się ze starej, szwajcarskiej rodziny ewangelicko-reformowanej.

A dziadek?

- A dziadek, co ciekawe, pochodził z rosyjskiej rodziny prawosławnej.

A rodzina ojca?

- Niewiele o niej wiem, poza tym, że mieszkali na Litwie i byli potomkami austriackich Luteranów. Ojciec został wychowany przez pastorską rodzinę ewangelicko-reformowaną.

Skąd zatem wziął się pan w Polsce?

- Za sprawą rodziców, którzy przybyli do Warszawy po pierwszej wojnie światowej i świadomie postanowili zostać Polakami.

W domu Witolda mówiono się po polsku, tak też prowadziło dom i dzieciaki posyłano do polskich szkół. Swoje utożsamienie z polską spr-

wą rodzina Benderów udowodniła wielokrotnie, nie pozostając obojętną na trudną historię naszego kraju. Po wybuchu II wojny światowej ojciec Witolda znalazł się, prawdopodobnie za sprawą niemiecko brzmiącego nazwiska i wyznania, na liście potencjalnych przyjaciół nazizmu. Nie podpisał jednak reżimu, za co wysłano go do Oświęcimia. Jego losy tym samym zostały przesądzone. Zginął w Dachau w 1944 roku. W Oświęcimiu więzieni byli również matka i młodszy brat Witolda. Na szczęście przeżyli. W tym czasie 12-letni Witold wstąpił do Szarych Szeregów, a siostra do AK. Oboje wzięli udział w powstaniu warszawskim.

- Jestem taki jak moja matka. Od niej nauczyłem się kochać ludzi. Była niezwykłą kobietą. Nie znała ksenofobii, nietolerancji, jestem przekonany, że nawet wybaczyła sprawcom swoich bolesnych doświadczeń w Oświęcimiu. A na pewno nie pozwoliła nam odczuć, że spotkało ją jakieś nieszczęście. Na co dzień wszczepiała nam polskość, uczuciwy stosunek do religii i pozytywny stosunek do wszystkiego, co przynosi życie.

Powiedział mi pan, że niczego, co przeżył i doświadczył, nie rozpamiętuje, nie otacza kultem. A jednak proszę mi powiedzieć, co uważa pan za swoje największe osiągnięcie?

- Za swój prawdziwy życiowy sukces uważam nawiązanie współpracy pomiędzy Rybnem a miejscowością Weener we Fryzji Wschodniej, dzięki której już od dziesięciu lat polskie i niemieckie dzieci rok-



Muzeum w Rybnie jest ośrodkiem magazynowo-badawczym warszawskiego Muzeum Archeologicznego. Dziwne, że tak mało znane lokalnej społeczności. A znajdują się tu zabytki z najróżniejszych regionów Polski, materiały krzemienne, metalowe czy brązowe, pochodzące ze wszystkich epok, od paleolitu po późne średniowiecze. Witold Bender, szefując tej placówce blisko 20 lat, stworzył tu otwartą dla zwiedzających ekspozycję. Choć wszyscy mogli ją obejrzeć, i wielu tak uczyniło, podchodząc do tej ogólnej statystyki procentowo, trzeba podkreślić, że powinno to uczynić obywateli znacznie więcej.

rocznie odwiedzają się nawzajem. Nawiązanie tej współpracy nie było łatwe. Przede wszystkim na przeszkodzie stała niechęć, i to nie tylko mieszkańców, ale również władz, do „za-przyjaźniania” się

z Niemcami. Dochodziły jeszcze problemy organizacyjne i bariery językowe. Dzięki pracy Witolda, silnym chęciom strony fryzyskiej i w końcu osiągniętej woli polskiej, udało się współpracę nawiązać. Z czasem jej koordynacją zajęła się szkoła. A Witold, poza satysfakcją z sukcesu, może cieszyć się z przyjaźni, które przy okazji powstały. W dniu wydania tej gazety będzie przebywał u jednego z takich przyjaciół w Weener.

Wiem, że zrobił pan dla Rybna znacznie więcej. Że to pan zajął się odkrywaniem rybińskiej historii. Dotarł pan do nieznanych dokumentów i informacji. Na dodatek uporządkował je pan i częściowo już opublikował. Dzięki panu wiemy na pewno, że Zabłocki, który na myśle źle wyszedł, pochodził właśnie stąd. I odnalazł pan potomków rodzin byłych właścicieli Rybna: Zabłockich i Koczorowskich, dzięki którym tę wiedzę udało się jeszcze poszerzyć.

- Tak, zainteresowało mnie to miejsce. Moi pracodawcy nawet wspominali mi, że zamiast zajmować się archeologią, wciąż skrobię coś o tym Rybnie.

A jak się pan w tym Rybnie czuje?

- Dobrze, choć, jeśli mogę sobie pozwolić na taką szczerość, wciąż wewnątrz obco. Jestem tu obcy

kulturowo, narodowościowo i religijnie. A ponieważ wszystkie te dziedziny kryją w sobie fundamenty mojej szeroko pojętej tożsamości, pewnie już tak musi być.



Witold Bender urodził się w Warszawie w 1930 roku. Jako archeolog wiele lat pracował w Instytucie Historii Kultury Materialnej PAN w Warszawie, z sukcesem prowadził badania wykopaliskowe w Wólce Łasieckiej k. Łowicza czy Otalążce k. Mogielnicy, a ostatnie lata pracy zawodowej spędził w oddziale warszawskiego Państwowego Muzeum Archeologicznego w Rybnie. Działacz kościelny i humanista. Miłośnik sztuki. Podróżnik.

Ojciec Anny - germanistki z Warszawy i Tomasza - alpinisty z Kalifornii.

A jednak, chociaż przeszedł pan na emeryturę, wciąż tu mieszka? To byłby tenże oklepany już zbieg okoliczności, czy chciał pan zostać?

- Chciałem i za możliwość spełnienia tej chęci jestem bardzo wdzięczny. Po pierwsze jestem jeszcze coś winien archeologii, chciałbym dokończyć kilka opracowań. A poza tym nie mógłbym zostawić psów. Należą naprawdę do muzeum, ale są takie moje. Nie miałbym serca zostawić od tak dziesięciu lat ich przywiązania.

rozm. figa